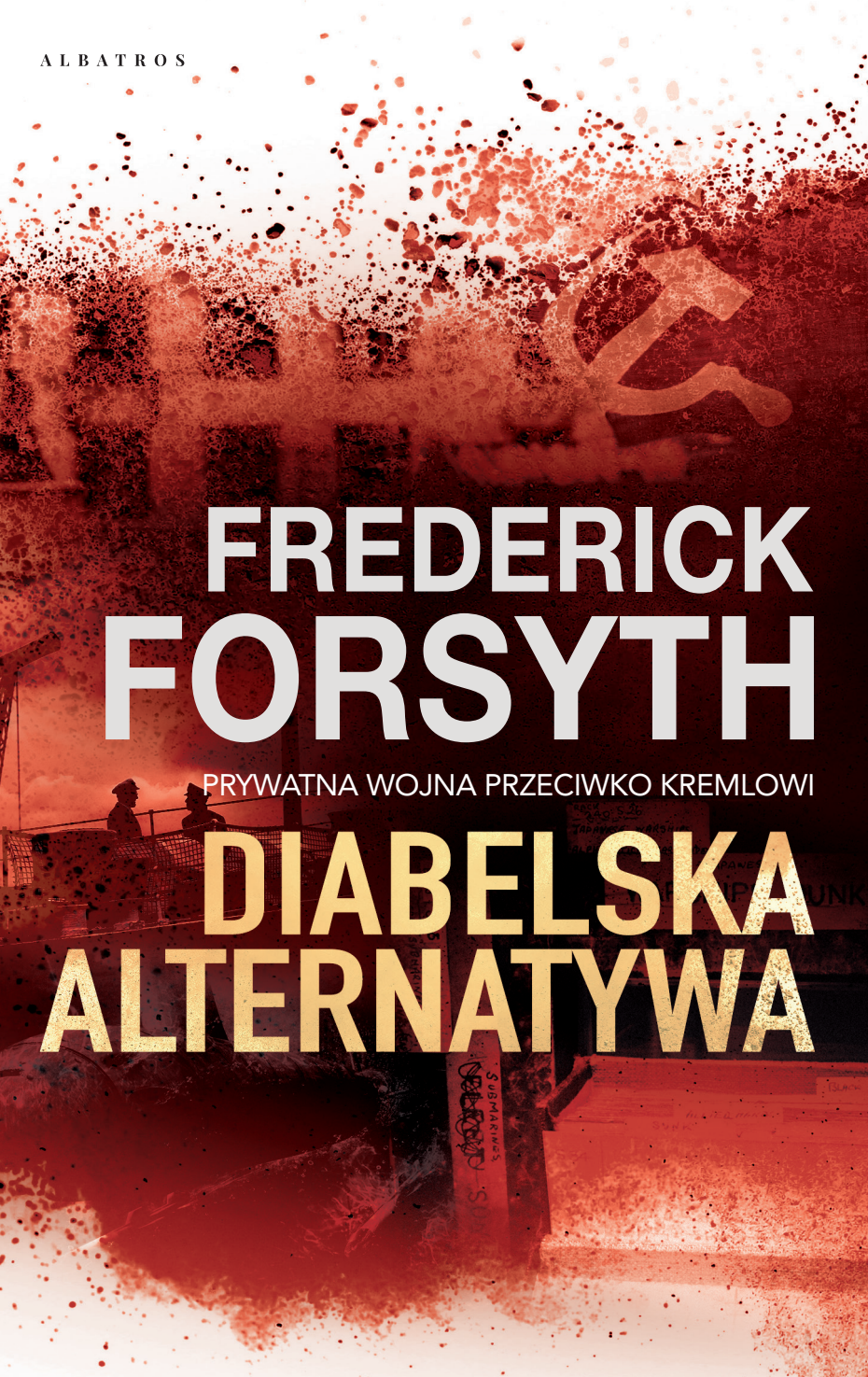


ALBATROS



FREDERICK
FORSYTH

PRYWATNA WOJNA PRZECIWKO KREMLOWI

DIABELSKA
ALTERNATYWA

Prolog

Gdyby nie doskonały wzrok włoskiego marynarza, Maria, rozbitek zapewne nie dożyłby zmierzchu. Kiedy go dostrzeżono, był nieprzytomny. Pod wpływem bezlitosnego słońca jego niemal nagie ciało doznało oparzeń drugiego stopnia. Ta jego część, która znajdowała się w wodzie, zmiękła i zbielała od soli. Pokryła się liszajami i nabrzmiała, jak długo moczona skóra oskubanej, rozkładającej się gęsi.

Mario Curcio był kucharzem i stewardem na *Garibaldim*, starej, pocziwej i zardzewiałej krypte z Brindisi, odbywającej rejs na wschód w stronę przylądka Ince i dalej do Trabzonu – na północno-wschodnim krańcu wybrzeża Turcji.

Mario nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego właśnie tego dnia – gdzieś pod koniec kwietnia 1982 roku – postanowił oberki ziemniaków z wiadra wyrzucić za burtę zamiast, jak zwykle, do zsypu na rufie. Zresztą nikt go o to nie pytał. Być, może, po długim przebywaniu w dusznym i ciasnym kambuzie, chciał po prostu przez chwilę odetchnąć świeżym czarnomorskim powietrzem. Wyszedł więc na pokład. Podeszedł wolno do prawej burty i cisnął śmieci w obojętne, spokojne tego dnia morze. Następnie chciał wrócić do przerwanych obowiązków. Zrobił dwa kroki, stanął i zmarszczył brwi. A potem raz jeszcze zawrócił i ponownie podeszedł do relingu. Patrzył, mocno czymś zaintrygowany, jakby nie dowierzając własnym oczom.

Statek płynął kursem wschodnio-północnym, by ominąć przylądek Ince. Toteż gdy Mario, osłaniając oczy, patrzył

wzdłuż relingu ku rufie, południowe słońce świeciło mu niemal prosto w twarz. Mimo to był pewien, że przed chwilą zobaczył coś kołyszącego się na szmaragdowych falach rozległej przestrzeni między statkiem a odległym od niego o dwadzieścia mil na południe brzegiem Turcji. Nie mógł już teraz z tego miejsca dostrzec ponownie widzianego przed chwilą obiektu. Przebiegł przez pokład rufowy i wspiął się po zewnętrznej drabinie na skrzydło mostka kapitańskiego. Stamtąd spojrzął jeszcze raz. I wtedy zobaczył to znowu. Całkiem wyraźnie. Choć tylko przez ułamek sekundy, między przelewającymi się spokojnie górami wody. Odwrócił się i wpadł w znajdujące się tuż za nim otwarte drzwi sterówki z okrzykiem:

– *Capitano!*

Kapitan Vittorio Ingrao nie od razu dał się przekonać, bo Mario był prostym chłopakiem i nie potrafił zbyt jasno mówić. Ingrao miał jednak dość marynarskiej wiedzy i doświadczenia, by zdać sobie w końcu sprawę, że na dostrzeżonej przez Maria łodzi, której obecność na morzu potwierdzało echo na ekranie radaru, mógł znajdować się jakiś człowiek. Jego bezwzględny obowiązkiem było w tej sytuacji natychmiast zawrócić statek i sprawdzić. Pół godziny zajęło kapitanowi wykonanie zwrotu i doprowadzenie *Garibaldiego* do łodzi dostrzeżonej wcześniej przez Maria. Teraz zobaczył ją także kapitan.

Niewielka łódka nieokreślonego typu miała niespełna cztery metry długości. Niezbyt szeroka, lekka, mogła z powodzeniem być jolką z jakiegoś statku. W jej przedniej części znajdowała się ławka, a w niej otwór na maszt. Ale masztu albo tam nigdy nie było, albo został źle zamocowany i wypadł za burtę. Podczas gdy *Garibaldi* z zastopowanymi maszynami kołysał się ciężko na fali, kapitan Ingrao oparł się o reling na mostku kapitańskim i obserwował, jak Mario z bosmanem Paolem Longhim wyruszyli w stronę łodzi motorową szalupą ratunkową. Ze swej wysokości mógł zajrzeć do wnętrza łódki, gdy została przyholowana bliżej statku.

Na jej dnie, w kilkucentymetrowej warstwie morskiej wody, leżał na plecach mężczyzna. Był wychudzony i

wycieńczony. Zarośnięty i nieprzytomny. Głowę miał odwróconą na bok. Oddychał krótko, nierówno, z wyraźnym trudem. Kiedy wciągano go na pokład i dłonie marynarzy dotknęły jego piersi i ramion, z których zeszła skóra, jęknął kilkakrotnie.

Na *Garibaldim* była stale jedna wolna kabina – pozostawiona na coś w rodzaju izolatki, gdyby ktoś zachorował. Tam też umieszczono rozbitka. Mario na własną prośbę mógł opiekować się znalezionym mężczyzną. Natychmiast uznał rozbitka za swoją własność. Zupełnie jak mały chłopiec troszczący się o szczeniaka, którego uratował od śmierci. Poświęcił mu cały wolny od obowiązków czas. Bosman Longhi podał mężczyźnie morfinę, znajdującą się w apteczce wśród leków pierwszej pomocy, aby oszczędzić mu bólu. Następnie wraz z Mariem obaj zajęli się oparzeniami.

Jako Kalabryjczycy mieli sporo do czynienia z poparzeniami słonecznymi. Toteż przygotowany przez nich balsam mógł konkurować z najlepszymi na świecie. Mario przyniósł z kambuza miednicę pełną mieszaniny sporządzonej w równych proporcjach ze świeżego soku cytryn i octu winnego. Przyniósł też cienką bawełnianą szmatkę wyrwaną z poszewki i misę kostek lodu. Namoczywszy szmatkę w mieszaninie, owijał nią kilkanaście kostek lodu i taki zimny okład przykładł delikatnie do najbardziej poparzonych miejsc, gdzie promienie ultrafioletowe przeniknęły najgłębiej, powodując oparzenia prawie do kości. Ciało nieprzytomnego mężczyzny było tak rozgrzane, że w widoczny sposób parowało przy zetknięciu się z lodową lecniczą mieszaniną, która ochładzała najbardziej spalone słońcem miejsca. Mężczyzna dostał dreszczy.

– Lepsza gorączka i dreszcze niż śmierć od udaru słonecznego – powiedział do niego Mario po włosku. Poparzony i nadal nieprzytomny człowiek nie mógł go słyszeć. A gdyby nawet mógł, zapewne by go nie zrozumiał.

Tymczasem Longhi dołączył do swego kapitana, który na tylnym pokładzie oglądał wyciągniętą z morza łódkę.

– Jest coś? – zapytał bosman.

Kapitan Ingrao pokręcił głową.

– Przy tym facecie też nic nie ma. Ani zegarka, ani plakietki z nazwiskiem. Tylko para tanich gaci bez firmy. A brodę ma taką, jakby się dziesięć dni nie golił.

– Tu też nic nie ma – powiedział Ingrao. – Ani masztu, ani żagla, ani wiosła. Śladu żywności czy pojemnika na wodę. Nawet na łódce nie ma żadnej nazwy. Ale napis mógł się złuszczyć.

– Może to turysta z jakiegoś nadmorskiego kurortu, którego zniosło na pełne morze – rzekł Longhi.

Ingrao wzruszył ramionami.

– Albo rozbitek z jakiegoś małego frachtowca. Pojutrze będziemy w Trabzonie. Władze tureckie wyjaśnią to, kiedy facet odzyska przytomność i zacznie mówić. Na razie ruszamy dalej. Aha, trzeba jeszcze zadepeszować do naszego agenta w porcie i zawiadomić go o tym zdarzeniu. Na nabrzeżu powinna na nas czekać karetka pogotowia.

Dwa dni później rozbitek, jeszcze ciągle nie całkiem przytomny i niezdolny do mówienia, znalazł się pod dobrą opieką w małym miejskim szpitalu w Trabzonie.

W drodze z nabrzeża do szpitala marynarz Mario towarzyszył w karetkce swemu rozbitekowi wraz z miejscowym agentem armatora i inspektorem portowej służby medycznej, który domagał się zbadania, czy trawiony gorączką mężczyzna nie jest zakaźnie chory. Po godzinie czuwania przy jego łóżku Mario pożegnał swego wciąż nieprzytomnego podopiecznego i powrócił na pokład *Garibaldiego*, żeby przygotować obiad dla załogi. Wszystko to działo się poprzedniego dnia. Wieczorem zaś, dzień później, stary włoski parowy tramp wypłynął z portu w dalszą drogę.

Nazajutrz przy łóżku rozbitego zjawił się mężczyzna w towarzystwie oficera policji i lekarza w białym fartuchu. Wszyscy trzej byli Turkami. Ale tylko jeden z nich – niski i krępy, ubrany po cywilnemu – mówił jako tako po angielsku.

– Wygrzebie się z tego – powiedział lekarz. – Jednak na razie jego stan jest nadal bardzo ciężki. Udar słoneczny. Oparzenia drugiego stopnia. Ogólne wycieńczenie i osłabienie ze względu na zbyt długie przebywanie w ekstremalnych warunkach. No i wygląda na to, że od kilku dni nie jadł.

– Co mu podajecie? – spytał cywil, wskazując na podłączone do obu rąk chorego przewody kroplówek.

– Sól fizjologiczną i stężony roztwór glukozy, żeby usunąć skutki wstrząsu i wzmocnić organizm – odparł lekarz. – Marynarze prawdopodobnie uratowali mu życie, robiąc zimne okłady na oparzone miejsca. My wykąpaliliśmy go jeszcze w kalominie, żeby przyspieszyć proces gojenia. Reszta zależy teraz już tylko od Allaha i od niego samego.

Umit Erdal, wspólnik w Spółce Żeglugowo-Handlowej Erdala i Sermita, był przedstawicielem Lloyd'a w porcie trabzońskim. Jemu właśnie przekazał z ulgą sprawę rozbitka agenta armatora *Garibaldiego*. W spalonej na ciemny orzech, zarośniętej twarzy chorego nastąpiła nagle zmiana. Poruszył powiekami. Erdal odchrząknął, pochylił się nad leżącym i odezwał się do niego swoją najlepszą angielszczyzną.

– Jak... się... pan... nazywa? – spytał wolno i wyraźnie.

Zapytany jęknął i kilkakrotnie poruszył głową. Agent Lloyd'a pochylił się jeszcze niżej nad leżącym, żeby móc go usłyszeć.

– *Zdradzenyj* – wymamrotał półprzytomnie chory – *zdradzenyj*...

Erdal się wyprostował.

– To nie Turek – powiedział z miną wyroczni – ale zdaje mi się, że nazywa się *Zdradzenyj*. To chyba jakieś słowiańskie nazwisko.

Obaj towarzyszący mu mężczyźni wzruszyli tylko ramionami.

– Poinformuję o tym centralę Lloyd'a w Londynie – rzekł Erdal. – Może będą coś wiedzieli o jakimś statku zaginionym na Morzu Czarnym.

„Lista Lloyd'a” jest czymś w rodzaju codziennie czytanego brewiarza i Pisma świętego światowego bractwa marynarki handlowej. Ukazuje się od poniedziałku do soboty włącznie. Zawiera redakcyjne wstępniaki i inne artykuły, wiadomości i komentarze na jeden tylko temat – żeglugi. Ponadto jest jeszcze żeglugowy katalog. Podaje bieżące dane o ruchach ponad trzydziestu tysięcy statków marynarki handlowej, pływających stale po wszystkich morzach świata. A wśród nich:

nazwę statku, właściciela, banderę, rok budowy, tonaż oraz port wyjściowy i port docelowy ostatniego rejsu, o którym poinformowano Lloyd'a. Oba te organy prasowe towarzystwa są redagowane i wydawane w kompleksie jego budynków przy Sheepen Place w Colchester, na terenie hrabstwa Essex. Właśnie do tego ośrodka firmy Umit Erdal skierował swój codzienny teleksowy raport o ruchu statków, zawijających do portu w Trabzonie i wychodzących z niego. Tym razem dodał do niego jeszcze niewielką notatkę dla mieszczącego się w tym zespole budynków Działu Informacji Żeglugowej Lloyd'a.

Dział sprawdził w swoich rejestrach wypadków morskich, że w ostatnim okresie nie było doniesień o statkach zaginionych, zatopionych czy choćby opóźnionych na planowanych trasach po Morzu Czarnym, i przekazał otrzymaną notatkę sekretariatowi redakcji „Listy Lloyd'a”. Tutaj jeden z dyżurnych redaktorów wydania polecił zamieścić ją na tytułowej kolumnie, w rubryce krótkich doniesień ze świata, wraz z podanym przez rozbitka nazwiskiem. Informacja ukazała się już następnego dnia rano.

• • •

Większość czytających „Listę Lloyd'a” owego dnia, gdzieś pod koniec kwietnia, ledwie rzuciła okiem na zamieszczoną w niej krótką notatkę o niezidentyfikowanym człowieku w Trabzonie.

Ale właśnie ta informacja przyciągnęła uwagę pewnego mężczyzny lekko po trzydziestce, zatrudnionego jako urzędnik w jednej z zajmujących się frachtami firm maklerskich. Mężczyzna ów cieszył się dużym uznaniem i zaufaniem pracodawców. Jego firma mieściła się przy małej uliczce Crutched Friars w samym centrum londyńskiego City. Kole-dzy znali go jako Andrew Drake'a.

Drake przeczytał z wyraźnym zainteresowaniem treść notatki i wstał zza biurka. Opuścił gabinet i przeszedł do sali obrad zarządu firmy, gdzie wisiała oprawiona w ramy mapa świata z zaznaczoną cyrkulacją najważniejszych wiatrów i prądów morskich. Studiował ją uważnie. Okazało się, że wio-

sną i latem na Morzu Czarnym wieją przeważnie północne wiatry, a prądy utrzymują najczęściej kierunek przeciwny do ruchu wskazówek zegara. Począwszy od południowego wybrzeża Ukrainy, leżącego nad najbardziej na północny zachód wysuniętą częścią tego morza, płyną następnie w dół, wzdłuż wybrzeży Rumunii i Bułgarii, by znowu skrócić w kierunku wschodnim, prowadząc prosto na szlak żeglugowy łączący Stambuł z przylądkiem Ince.

Drake wykonał kilka obliczeń na kartce podręcznego notatnika. Mała łódka, wyruszająca z bagnistych obszarów ujścia Dniestru, mogła, przy sprzyjającym wietrze i korzystnym prądzie morskim, płynąć w kierunku południowym z szybkością około czterech, pięciu węzłów wzdłuż wybrzeży Rumunii i Bułgarii ku Turcji. Ale po trzech dniach zaczęłoby ją zapewne znosić w kierunku wschodnim coraz dalej od Bosforu, ku wschodnim krańcom Morza Czarnego.

Rubryka meteorologiczna i nawigacyjna „Listy Lloyda”, którą potem starannie przestudiował, potwierdziła przypuszczenia Drake’a, że przed dziewięcioma dniami panowała w tym rejonie zła pogoda. Akurat taka pogoda, która mogła sprawić, że mała łódź, prowadzona rękami niedoświadczonego żeglarza, przewróciła się na fali. Straciła maszt i całą zawartość. Usiłujący płynąć nią człowiek, jeśli nawet zdołał ją odwrócić i dostać się do niej z powrotem, był zdany całkowicie na łaskę słońca i wiatru.

Dwie godziny później Andrew Drake poprosił o wolny tydzień na poczet należnego mu urlopu. Wyrażono na to zgodę pod warunkiem, że rozpocznie urlop dopiero w następny poniedziałek, trzeciego maja.

Przez cały tydzień żył w stanie łagodnej ekscytacji, niecierpliwie oczekując, by dobiegł on końca. Tymczasem w pobliskiej agencji lotniczej kupił sobie powrotny bilet z Londynu do Stambułu. Postanowił również, że bilet na krajową linię Stambuł–Trabzon kupi na miejscu za gotówkę. Upewnił się także, że posiadacz brytyjskiego paszportu nie potrzebuje tureckiej wizy. A po wyjściu z biura załatwił sobie świadectwo szczepienia ospy w ośrodku medycznym British Airways na Dworcu Wiktorii.

Był podekscytowany, bo miał nadzieję, że jest to właśnie szansa, na którą czekał od lat. Może udało mu się nareszcie znaleźć takiego człowieka, jakiego od dawna szukał. W odróżnieniu od trzech mężczyzn, którzy dwa dni wcześniej stali przy łóżku rozbitek, on wiedział, z jakiego języka pochodzi i co naprawdę oznacza ukraiński wyraz *zdradzenyj*. Zdawał sobie sprawę, że nie jest to nazwisko tajemniczego mężczyzny, że półprzytomnie wymówił on w zapewne ojczystym języku słowo „zdradzony”. To mogło oznaczać, że ów człowiek jest zbiegłym ukraińskim dysydentem.

A Andrew Drake, mimo swego angielsko brzmiącego nazwiska, także był Ukraińcem – i to fanatycznym.

• • •

Po przybyciu do Trabzonu Drake zadzwonił natychmiast do biura Umita Erdala, którego nazwisko zdobył od jednego z przyjaciół pracującego u Lloyd'a. Powiedział mu, że wybiera się na urlop na tureckie wybrzeże, a ponieważ nie zna ani słowa w tym języku, może potrzebować pomocy. Erdal, zobaczywszy list polecający, w który Drake się zaopatrzył, nie pytał go już na szczęście, w jakim celu chce się zobaczyć z nieznanym rozbitek, przebywającym w miejscowym szpitalu. Teraz on z kolei napisał list polecający do dyrektora szpitala. Dzięki temu wkrótce po obiedzie Drake został wprowadzony do małej, mieszczącej tylko jedno łóżko separatki, w której leżał nieznajomy.

Miejscowy agent Lloyd'a zdążył go wcześniej uprzedzić, że rozbitek, chociaż odzyskał już przytomność, jest jeszcze nadal bardzo osłabiony i głównie śpi. A w krótkich chwilach kontaktu z otoczeniem nie powiedział jak dotąd ani słowa. Kiedy Drake wszedł do pokoju, chory leżał na wznak, z zamkniętymi oczami. Andrew Drake przysunął sobie krzesło i usiadł przy łóżku. Przez jakiś czas wpatrywał się w wynędzniałą twarz mężczyzny. Po kilku minutach powieki rozbitek drgnęły. Uniosły się nieco i opadły z powrotem. Czy spostrzegł wpatrującego się w niego uważnie gościa – Drake nie wiedział. Zdawał sobie jedynie sprawę, że interesujący go człowiek jest już bliski ponownego przebudzenia się. Powoli

pochylił się nad nim i powiedział wyraźnie, prosto do ucha chorego:

– *Szcze nie wmerła Ukraina.*

Słowa te znaczą dosłownie: „Jeszcze Ukraina nie umarła”, ale w wolnym przekładzie oznaczają raczej, że „Ukraina żyje nadal”. Są to pierwsze słowa zakazanego przez rosyjskich władców ukraińskiego hymnu narodowego, które rozpozna natychmiast każdy świadomy swej tożsamości narodowej Ukrainiec.

Chory otworzył szeroko oczy i popatrzył uważnie na Drake’a. Po kilku sekundach zapytał go po ukraińsku:

– Kim jesteś?

– Ukraińcem, jak ty – odpowiedział Drake.

W oczach nieznajomego pojawił się cień nieufności.

– Zdrajca? – zapytał podejrzliwie.

Drake pokręcił głową.

– Nie – odparł spokojnie. – Mam brytyjskie obywatelstwo. Urodziłem się tam i wychowałem. Jestem synem Ukraińca i Angielki. Ale w głębi serca czuję się Ukraińcem, tak samo jak ty.

Leżący w łóżku mężczyzna patrzył z uporem w sufit.

– Mógłbym pokazać ci mój paszport wydany w Londynie, ale to by niczego nie dowodziło. Jakiś czekista mógłby wylegitymować się takim paszportem, gdyby chciał cię podejść. – Drake rozmyślnie użył starego określenia funkcjonariuszy radzieckiej policji politycznej, do dziś używanego potocznie wobec pracowników KGB. – Ale nie jesteś już na Ukrainie. I czekistów tu nie ma – przekonywał go dalej Drake. – Nie zniosło cię na wybrzeże Krymu ani południowej Rosji czy Gruzji. Nie wylądowałeś także w Rumunii ani w Bułgarii. Wyłowił cię włoski statek i wysadził na ląd tutaj, w Trabzonie. Jesteś w Turcji. Jesteś na Zachodzie. Udało ci się.

Oczy nieznajomego zwróciły się teraz znowu ku jego twarzy, ożywione i błyszczące. Po ich wyrazie widać było, że bardzo chce uwierzyć w to, co usłyszał.

– Czy możesz się podnieść i wstać? – spytał Drake.

– Nie wiem – odrzekł mężczyzna.

Drake wskazał głową na okno, które znajdowało się po przeciwnej stronie małego szpitalnego pokoiku i zza którego dobiegały odgłosy ruchu ulicznego.

– Spróbuj podejść do okna i wyjrzeć – powiedział do chorego. – KGB mogłoby przebrać cały personel szpitalny za Turków. Ale nie mogłoby przecież zmienić wyglądu całego miasta tylko po to, by oszukać jednego człowieka. Zresztą wystarczyłoby trochę tortur, żeby wydobyć z ciebie zeznania, gdyby o to chodziło. No więc jak, dasz radę?

Z pomocą Drake’a rozbitek dowlókl się z trudem do okna i wyjrzał na ulicę.

– Samochody, które widzisz, to austiny i morrissy importowane z Anglii – wyjaśniał Drake – peugeoty z Francji, a volkswageny z Niemiec Zachodnich. Napisy na tablicach informacyjnych, szyldach i ogłoszeniach są w języku tureckim. Na wprost masz reklamę coca-coli.

Mężczyzna przycisnął wierzch dłoni do ust nerwowym ruchem, bezwiednie przygryzając kostki palców. Nie dowierzając, gwałtownie zamrugął.

– Udało mi się – powiedział.

– Tak, to prawdziwy cud, ale ci się udało.

– Nazywam się Myrośław Kamynski – zaczął mówić rozbitek po powrocie do łóżka. – Pochodzę z Tarnopola. Byłem przywódcą siedmioosobowej grupy ukraińskich bojowników.

Przez całą następną godzinę płynęła jego opowieść. Kamynski, wraz z sześcioma kolegami z rejonu Tarnopola, niegdyś jednego z ognisk ukraińskiego nacjonalizmu, gdzie jeszcze do dziś żarzą się jego zarzewia, postanowili podjąć akcje odwetowe przeciwko bezwzględnemu programowi rusyfikacji. Nasiliła się ona w latach sześćdziesiątych. A w siedemdziesiątych i na początku następnej dekady zaczęła wkraczać w fazę ostatecznej likwidacji całych dziedzin kultury, języka i świadomości narodowej. W ciągu sześciu miesięcy, za pomocą przemysłnie zastawionych pułapek, wyeliminowali dwóch sekretarzy partii niższego szczebla, Rosjan narzuconych Tarnopolowi przez Moskwę. I jednego tajnego agenta KGB. Potem doszło do zdrady.

Ten, kto zdradził, zginął tak samo jak pozostali, pod gradem kul, gdy oddział specjalny KGB z zielonymi naszywkami na mundurach otoczył wiejską chatę, w której grupa zebrała się, by zaplanować następną akcję. Uratował się tylko Kamynski. Uciekał, niczym zwierzę, przez okoliczne zarośla. Za dnia krył się w stodółach i lasach. Nocą zaś szedł coraz dalej na południowy wschód, w kierunku wybrzeża, z mglistą nadzieją, że uda mu się dostać na jakiś zachodni statek.

Ale dotarcie w pobliże portu w Odessie okazało się niemożliwe. Żywiąc się surowymi ziemniakami i rzepą prosto z pól, Kamynski ukrywał się na bagnistym obszarze ujścia Dniestru, na południowy zachód od Odessy. W końcu, przechodząc w nocy przez jakąś wioskę rybacką, leżącą nad samym rozlewiskiem rzeki, znalazł i ukradł małą łódkę z masztem i niewielkim żaglem. Nigdy przedtem nie żeglował i nie miał pojęcia o morzu. Próbował poradzić sobie równocześnie z żaglem i sterem – trzymając się ich kurczowo i modląc się przez cały czas. Zdołał jednak poprowadzić łódź z wiatrem, na południe, kierując się położeniem gwiazd i słońca.

Tylko dzięki niewiarygodnemu szczęściu i czystemu przypadkowi udało mu się uniknąć spotkania z kutrami patrolowymi przemierzającymi regularnie cały obszar przybrzeżnej strefy granicznej ZSRR i z licznymi w tym rejonie łodziami rybackimi.

Łupinka, którą płynął, prześlizgnęła się niezauważona przez jakąś lukę w gęstej sieci namiarów służby radarowej ochrony wybrzeża jak cienka drewniana drzazga, przedostając się w ten sposób przez przysłowiowe ucho igielne. A potem wydostał się całkowicie poza pas wód terytorialnych i zagubił gdzieś pomiędzy Rumunią a Krymem. Na pełnym morzu, z dala od szlaków żeglugowych, o których istnieniu i położeniu nic zresztą nie wiedział.

Sztorm nadszedł nieoczekiwanie i zaskoczył go całkowicie. Nie umiał w porę zrefować żagla i łódź się wywróciła. Ostatkiem sił trzymał się kurczowo przez całą noc jej odwróconego kadłuba. Dopiero gdzieś nad ranem udało mu się ją z powrotem postawić i wczłochać się do środka.

Stracił wszystko, co było w łodzi. Ubranie, które zdjął przed wieczorem, żeby się nieco ochłodzić nocnym wiatrem po upalnym dniu, kilka surowych ziemniaków i niezamkniętą butelkę po lemoniadzie, zawierającą nieco słodkiej wody – cały zapas żywności. Żagiel i ster. Prawdziwe cierpienia nadeszły jednak wkrótce po świcie, kiedy zaczął mu doskwierać narastający coraz bardziej upał. Dopiero na trzeci dzień po pamiętnym sztormie przyszła zbawienna utrata przytomności. Kiedy ją odzyskał, leżał w jakimś szpitalnym łóżku. W całkowitym milczeniu znosił ból oparzeń. Słuchał uważnie rozmów prowadzonych, jak mu się zdawało, po bułgarsku. Przez sześć dni nie otwierał oczu ani ust.

Drake chłonał jego słowa z rosnącym sercem. Po wysłuchaniu rozbitka miał już absolutną pewność, że udało mu się znaleźć właśnie takiego człowieka, na którego czekał całe lata.

Widząc, że Kamynski zdradza objawy wyczerpania, powiedział:

– Pojadę do Stambułu, żeby spotkać się z konsulem szwajcarskim. Spróbuję uzyskać od niego dla ciebie tymczasowe dokumenty podrózne, wystawiane przez Czerwony Krzyż. Jeśli uda mi się to załatwić, prawdopodobnie będę mógł zabrać cię do Anglii. Na razie przynajmniej z wizą pozwalającą na pobyt tymczasowy. A potem postaramy się o przyznanie ci azylu. Wrócę za kilka dni.

Już przy drzwiach zatrzymał się jeszcze na chwilę.

– Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że nie możesz tam teraz wrócić – powiedział do Kamynskiego. – Ale ja, z twoją pomocą, będę mógł to zrobić. A o to właśnie mi chodzi. Tego zawsze chciałem.

• • •

Andrew Drake musiał pozostać w Stambule dłużej, niż początkowo planował. Dopiero szesnastego maja mógł powrócić do Trabzonu z dokumentami podróznymi dla Kamynskiego. Przedłużył sobie urlop. Wymagało to jednak długiej rozmowy telefonicznej z Londynem. A nawet kłótni z młodszym współnikiem brokerskiej spółki, w której pracował. Ale

sprawa, którą się zajmował, była tego warta. Był już bowiem pewien, że za pomocą Kamynskiego zrealizuje swój jedyny wielki życiowy plan.

Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, podobnie jak przedtem carskie imperium, mimo imponującego, monolitycznego wrażenia, jakie robił, widziany z zewnątrz miał dwie pięty achillesowe. Jedną z nich stanowi problem wyżywienia dwustu pięćdziesięciu milionów obywateli. Druga była eufemistycznie nazywana „kwestią narodowościową”. W piętnastu republikach związkowych, którymi rządzi Moskwa, stolica ZSRR i Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej (RFSRR), żyło kilkadziesiąt dających się wyodrębnić narodowości nierosyjskich.

Najliczniejszym spośród tych nierosyjskich narodów i prawdopodobnie najbardziej świadomym swej odrębności byli Ukraińcy. W 1982 roku ludność RFSRR liczyła tylko sto dwadzieścia z dwustu pięćdziesięciu milionów mieszkańców ZSRR. Na drugim miejscu pod względem znaczenia ekonomicznego i liczebności znajdowała się Ukraińska SRR, z siedemdziesięcioma milionami mieszkańców. Był to jeden z powodów, dla których zarówno pod rządami carów, jak i później pod rządami kolejnych biur politycznych Ukraina była przedmiotem szczególnej uwagi i przemysłanej polityki rusyfikacyjnej.

Drugi powód był związany z historią Ukrainy. Dzieliła się ona na Galicję Wschodnią, Ukrainę słobodzką oraz uprzemysłowaną część wschodnią – i to okazało się fatalne. Część wschodnia, od wieków okupowana przez imperium carskie, uległa silnej rusyfikacji. Galicja Wschodnia, która należała do monarchii austro-węgierskiej, zbliżyła się duchowo i kulturalnie do tradycji Zachodu znacznie bardziej niż cała reszta Związku Radzieckiego, może z wyjątkiem krajów bałtyckich, które jednak były zbyt małe i zbyt słabe, by stawić opór rusyfikacji. Ukraińcy są katolikami, unitami, ale mają też Cerkiew autokefaliczną. Ich literatura i kultura są starsze niż tradycje kulturalne rosyjskich najeźdźców z północy.

W 1918 roku, wraz z upadkiem monarchii austro-węgierskiej, zachodni Ukraińcy rozpaczliwie próbowali utworzyć

własne państwo. Jednak – w odróżnieniu od Czechów, Słowaków czy Węgrów – nie udało im się to, a w 1919 roku Galicja Wschodnia została przyłączona do Polski. W 1941 roku Niemcy wkroczyli na teren Ukrainy. Nastąpiło wówczas gwałtowne i szalone pomieszenie nadziei, obaw i lojalności. Część, lojalna wobec Moskwy, liczyła na ustępstwa i liberalizację polityki narodowej za cenę podjęcia walki przeciwko Niemcom. Inni równie naiwnie i niesłusznie sądzili, że szansą na utworzenie wolnej Ukrainy jest porażka Moskwy przy poparciu Berlina, i wstępowali do Dywizji Ukraińskiej, która w niemieckich mundurach walczyła przeciwko Armii Czerwonej. Jeszcze inni, jak ojciec Kamynskiego, uciekali w Karpaty i jako partyzanci walczyli najpierw z jednym, potem z drugim najeźdźcą. Później znowu z tym pierwszym. Wszyscy jednak przegrali. Wygrał jedynie Stalin. I przesunął granice swego imperium na zachód aż po Bug, który stał się nową wschodnią granicą Polski. Cała Ukraina znalazła się pod rządami nowych władców – Biura Politycznego KPZR. Ale stare marzenia przetrwały i żyły nadal. Poza krótkim okresem odwilży w ostatnim okresie rządów Chruszczowa program zmierzający do zupełnego zdławienia tendencji narodowowyzwoleńczych ulegał stałej stopniowej intensyfikacji.

Stepan Dracz, student z Równego, zaciągnął się do Dywizji Ukraińskiej. Należał do nielicznych szczęśliwców. Przeżył wojnę, a w 1945 roku dostał się w Austrii do niewoli brytyjskiej. Wysłany do pracy na farmie w Norfolk, jako przymusowy robotnik zostałby z pewnością odesłany do ZSRR i rozstrzelany przez NKWD w 1946, zaraz po powrocie, zgodnie z potajemnym porozumieniem zawartym przez brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a także amerykański Departament Stanu w sprawie wydania na łaskę i niełaskę Stalina dwóch milionów znajdujących się w rękach zachodnich aliantów „ofiar Jałty”.

Ale Dracz i tym razem miał szczęście. W stogu siana, gdzieś w hrabstwie Norfolk, dopadł dziewczynę z pomocniczej służby rolnej. Dziewczyna zaszła w ciążę, potem był ślub. Dzięki temu sześć miesięcy później, ze względu na „szczególne okoliczności” losowe, Stepanowi oszczędzono

obowiązkowej repatriacji i pozwolono pozostać w Anglii. Zwolniony z przymusowej pracy na farmie, wykorzystał swe umiejętności i wiedzę radiooperatora, nabyte w czasie służby w wojsku, i otworzył mały radiowy warsztat naprawczy w Bradford, będącym skupiskiem trzydziestu tysięcy Ukraińców mieszkających w Wielkiej Brytanii. Pierwsze dziecko zmarło tuż po urodzeniu. Drugie urodziło się w 1950 roku. Był to syn, któremu dano na chrzcie imię Andrij.

Andrij uczył się ukraińskiego na kolanach ojca. Ale uczył się od niego nie tylko języka. Ojciec opowiadał synowi o swojej ziemi, o rozległych przestrzeniach i o widokach Karpat i Podola. Wśród tych opowieści wchłaniał też ojcowską nienawiść do Rosjan. Ojciec zginął w wypadku samochodowym, kiedy chłopiec miał dwanaście lat. Matka, zmęczona ciągłymi się w nieskończoność wieczorami wspomnień przy kominku, spędzanymi w towarzystwie męża i jego przyjaciół wygnańców, mówiących wyłącznie o przeszłości w języku, którego nigdy nie rozumiała, zmieniła wkrótce ich nazwisko na całkiem angielsko brzmiące Drake. A nadane chłopcu imię Andrij na Andrew. W szkole i na uniwersytecie chłopak występował już jako Andrew Drake. Na nazwisko Drake wystawiono też jego pierwszy paszport.

Jego uczucia patriotyczne odżyły, gdy dobiegł dwudziestki. Studiował wówczas na uniwersytecie wraz z wieloma innymi Ukraińcami i szybko odzyskał biegłą znajomość ojcowskiego języka. Było to w końcu lat sześćdziesiątych. Krótki renesans ukraińskiej literatury i sztuki w kraju dawno już minął. Liczni ukraińscy twórcy narodowi wykonywali wówczas niewolniczą pracę w gułagach. Z opóźnieniem przyswajał sobie więc Andrew wiedzę o tych wydarzeniach i o tym, co się potem stało z pisarzami tamtych czasów.

Na początku lat siedemdziesiątych znał już właściwie całą literaturę ukraińską. Klasykę Tarasa Szewczenki i tych, którzy pisali w krótkim okresie rozkwitu kultury ukraińskiej za czasów Lenina, stłumionym potem i wymazanym z oficjalnego obiegu w czasach stalinowskich. Przede wszystkim czytał jednak twórców z lat sześćdziesiątych, nazywanych *szesztydesjatnyky*, dlatego że właśnie w tym okresie doprowadzili do

ponownego, trwającego zaledwie kilka krótkich lat, lecz znaczącego rozkwitu tej literatury, dopóki Breżniew nie uderzył znowu, by zdeptać rosnącą narodową dumę, o którą walczyli.

Czytał Osdaczego, Czornowiła, Moroza i Dziubę – i bolał nad ich losem. A kiedy jeszcze przeczytał wiersze i sekretny dziennik Pawła Symonenki, młodego zapaleńca, który zmarł na raka w wieku dwudziestu ośmiu lat i stał się obiektem kultu ukraińskich studentów w ZSRR, postanowił oddać się bez reszty sprawie swego kraju, którego dotąd nigdy nawet nie widział.

Głębokiej miłości do kraju nieżyjącego ojca towarzyszyła rosnąca niechęć i nienawiść do tych, których uważał za jego ciemniźcicieli. Z zapartym tchem pochłaniał podziemne pisma wydawane przez ukraińskich dysydentów i przemycane za granicę. Zwłaszcza „Głos Ukrainy”, przynoszący relacje o losach wielu nieznanych, żyjących w ciężkich warunkach i zapomnieniu działaczy, którzy nie zdobyli takiego rozgłosu jak bohaterowie wielkich moskiewskich procesów: Daniel, Siniawski, Orłow i Szczaranski. Wraz z każdym nowym szczegółem, wyczytany w tych relacjach, rosło w nim uczucie nienawiści. Aż w końcu całe zło świata utożsa miło się w świadomości Andrija Dracza ze złowrogim skrótem KGB.

Miał jednak dość poczucia realizmu, żeby uniknąć popadania w prymitywny, skrajny nacjonalizm starszych uchodźców oraz istniejące wśród nich podziały i animozje między Ukraińcami wschodnimi i zachodnimi. Odrzucał też zaszczepiony głęboko w ich świadomości antysemityzm. Wolał uznawać dzieła Gluzmana, syjonisty i ukraińskiego nacjonalisty zarazem, za prace swego rodaka – Ukraińca. Przyglądając się uważnie społeczności ukraińskich uchodźców mieszkających w Wielkiej Brytanii i innych krajach Europy, wyróżniał w niej cztery grupy: orędowników językowego nacjonalizmu, którym wystarcza, że mówią i piszą w ojczystym języku, kawiarnianych nacjonalistów – wiecznych dyskutantów, gadających całymi dniami, ale nierobiących absolutnie nic dla sprawy kraju; malarzy narodowych haseł, których działalność irytowała tylko gospodarzy wszędzie tam, gdzie mieszkali emigranci, ale nie szkodziła zupełnie „imperium zła”, i wreszcie

aktywistów, urządzających demonstracje podczas wizyt moskiewskich dygnitarzy, starannie fotografowanych przez Wydział Specjalny, który zakładał im teczki, i cieszących się z tego powodu specyficzną, krótkotrwałą popularnością.

Drake odrzucał wszystkie te grupy i postawy. Trzymał się od nich z daleka. Pozostawał spokojnym, lojalnym obywatelem brytyjskim. Przybył na południe Anglii, do Londynu, i podjął pracę urzędnika. Jak wielu ludzi wykonujących ten zawód, i on miał swoją wielką pasję, starannie skrywaną przed kolegami. Pochłaniała ona wszystkie jego oszczędności, cały wolny czas, każdy urlop. Powoli skupił wokół siebie małe grono ludzi, którzy żywili podobne uczucia. Wyszukiwał ich starannie. Potem długo obserwował. Spotykał się z nimi i zaprzyjaźniał stopniowo. Składał wspólne przysięgi i przyrzeczenia. Zalecał cierpliwe czekanie na odpowiednią chwilę.

Andrij Dracz miał bowiem swoje ukryte marzenie i, jak mawiał T.E. Lawrence, był niebezpieczny, gdyż „śnił na jawie – z otwartymi oczami”. Marzył, że któregoś dnia on właśnie wymierzy moskiewskim władcom Ukrainy cios, który wstrząśnie nimi tak, jak nic dotychczas.

Spełnienie tego marzenia stawało się o jeden krok bliższe dzięki Kamynskiemu. Kiedy samolot lądował ponownie w Trabzonie, Drake był już zdecydowany.

• • •

Myrosław Kamynski spoglądał na Drake'a z wyrazem niezdecydowania na twarzy.

– Naprawdę nie wiem, Andrij. Po prostu nie wiem. Mimo tego, co dla mnie zrobiłeś. A zrobiłeś przecież tak wiele. Nadal nie wiem jednak, czy mogę ci aż tak bardzo zaufać. Przepraszam, ale już chyba nie potrafię inaczej. Żyłem przecież dotąd przez cały czas w takich warunkach, że rozumiesz chyba, dlaczego nikomu nie ufam.

– Posłuchaj, Myrosław. Mógłbyś znać mnie przez następne dwadzieścia lat i nie wiedzieć o mnie nic ponad to, co wiesz już dzisiaj. Wszystko, co ci o sobie powiedziałem, jest prawdą. Jest też oczywiste, że skoro ty nie możesz wrócić do kraju, powinieneś pozwolić mnie tam jechać zamiast cie-

bie. Ale muszę mieć tam jakieś oparcie, kontakty. I jeśli tylko znasz kogoś, kogokolwiek, kto mógłby, kto chciałby...

Kamynski w końcu zgodził się mu pomóc.

– Jest tam jeszcze dwóch moich ludzi. Nie wpadli razem z innymi, kiedy rozbito moją grupę, bo tylko ja o nich wiedziałem. Poznałem ich dopiero kilka miesięcy wcześniej.

– Ale czy to na pewno Ukraińcy i bojownicy naszej narodowej sprawy? – dopytywał się niecierpliwie Drake.

– Tak, to Ukraińcy. Ale nasza narodowa sprawa nie stanowi dla nich najważniejszej motywacji do walki. Należą do innego narodu, który także wiele wycierpiał. Ich ojcowie, podobnie jak mój, siedzieli przez dziesięć lat w łagrach, chociaż z innego powodu. Są Żydami. Ale równocześnie są też ukraińskimi nacjonalistami.

– Ale... czy naprawdę nienawidzą Moskwy? Czy pomogliby mi zorganizować akcję przeciwko Kremlowi?

– Tak, nienawidzą Moskwy – odpowiedział Kamynski. – Tak samo jak ty czy ja. Ich główną inspiracją jest, jak sądzę, program Ligi Obrony Żydów. Dużo o niej słyszeli przez radio. Ich koncepcja walki jest też chyba podobna do naszej. Nie chcą dłużej biernie znosić prześladowań i przewidują podjęcie akcji odwetowych.

– W takim razie koniecznie muszę nawiązać z nimi kontakt – nalegał Drake.

Następnego dnia rano leciał już do Londynu z nazwiskami dwóch młodych żydowskich bojowników ze Lwowa. W ciągu następnych dwóch tygodni zapisał się na wycieczkę turystyczną do Kijowa, Tarnopola i Lwowa. Porzucił także pracę i wycofał w gotówce całe życiowe oszczędności ze swego konta w banku.

Nikt jeszcze nie wiedział, że Andrew Drake alias Andrij Dracz wyrusza właśnie na swoją prywatną wojnę przeciwko Kremlowi.